



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POEZJA W ŻYCIU.

W drewnianym dworku szlacheckim przed laty,
Na rękę wsparta o ramę okienka,
Stawała często, jak anioł skrzydlaty,
Jakby zjawienie, przesliczna panienka.
We włosach miała róże i bławaty;
Jej kibić jasna objęła sukienka.
Dziewczę marzyło w oknie długo, długo—
Myśli jej snuły się tęczową smugą.

A jakie były? — zgadnąć się nie siłę,
Choć zgadnąć łatwo — baśń młodości stara!
Każdy miał przecie te uroczę chwile,
Gdy kołysała go urodnicza wiara,
Że życie da mu swych rozkoszy tyle,
Ile zapragnie sam, że szczęścia miara
Bezdenne. Błogo taki sen rozmarza,
Nie nudzi, chociaż jedno wciąż powtarza.

Marzyła, śniła uroczą dziewicą
W przedudnej porze, w siedemnastym roku,
A obraz marzeń przebiegał przez lica,
Jak ptak przelotny nad nurtem potoku;
Rumienił twarz jej, lub, jak błyskawica,
Zapalał świetną tęczę w jasnym oku,
A potem wtrącał w zadumę, co wróży,
Że serce czekać nie potrafi dłużej.

Marzyła, śniła, aż pewnego razu
Sen jej się wyśnił — snom takim spełnienie
Los daje zawsze z Bożego rozkazu —
I przybył młodzian, jakim go marzenie
Chciało mieć: niby z starego obrazu
Stąpił, rzuciwszy zagrobowe cienie,

I biegł ochoczo, jak lotem ptaszcęcia,
W otwarte zdawna dla niego objęcia.

Sen stał się prawdą, uroczy sen złoty,
I rzeczywistość sypnęła swe dary,
Których pragnęło serce w dniach tęsknoty;
Odziała w ciało rozpierzchliwe mary,
Ściągnęła na dół nadpowietrzne loty,
I w jeden płomień zlała wszystkie czary,
I dwojgu duszom dała w życia maju
To, co na ziemi jest przedświttem raj.

A gdy czytali natchnione stronnice,
Jako w szwajcarskich górach rozbu ały
Poeta cudną ukochał dziewicę,
Oczy ukradkiem z sobą się zbiegały,
Rumieniec palił rozognione lice,
Usta całunku żądzą chciwie drżały;
Lecz kusicielem chociaż była księga,
Przyzwoitości strzegła ich potęga.

Aż w końcu, w wieczór cudny, księżycowy,
Siadłszy pod starej lipy konarami,
Ku sobie tkliwie pochylili głowy,
Zwrócili oczy przesłonięte łzami,
Niezdolni uczuć jasno odziać słowy,
Spletli się w uścisk, co duszy nie plami,
I poprzysięgli, z mocną wiarą w łonie,
Miłość do zgonu — i miłość po zgonie

— O droga moja, ja pod nogi twoje
Najcudowniejszy życia kwiat podścielę,
Trwałej radości otworzę ci zdroje
— O drogi, ja ci szczęścia dam tak wiele,
Na ile ziemską dolę stać. — Oboje
Pod konarami drzew, jakby w kościele,
Za szczerą miłość poprzysięgli sobie
Wzajemnem szczęściem płacić nawet... w grobie.

Dziś nie ten dworek, nie wiejskie ustronie...
Lecz w murowanej miejskiej kamienicy

Taż sama para mieszka — i nie płonie
Miłości ogień w przygasłej żrenicy;
Bo już nie chodzą w młodości koronie,
Bo z oblubienica i oblubienicy
Są parą, węzłem małżeńskim złączoną,
Ołtarza ślubem niezłomnym stwierdzoną.

Już nie siadają sami na uboczy,
Tuląc się tkliwie do siebie w uścisku,
Lecz zimno patrzą sobie wzajem w oczy,
Wyrzut łśni gniewny w każdym żrenic błę-
Znać, że uczucie złe im serca tłoczy [sku:
I że zzymają się w jego ucisku,
Kłójąc się wzajem słowy, co wciąż ranią,
I klnąc poezją, młodszych dni swych panią.

— O, niech przeklętą będzie owa siła,
Co pociągnęła niegdyś nas do siebie!
Kłątwa zwodniczy, która nas łudziła
Żłudną nadzieją szczęścia niby w niebie!
Gdy mary przysły, wnet nas porzuciła,
I dziś żyć musim po szczęścia pogrzebie,
Znosząc złośliwe losów pośmiewisko,
Co nas stawilo przy sobie zbyt blisko. —

Zanim zawita anioł litościwy,
Co usta zamknie bezbożnej rozpaczy,
Zanim da spokój parze nieszczęśliwej,
Poezya schodzi w szacie swej tułaczkiej,
W obliczu nosi znak ów niewątpliwy,
Że kłąt wmiotanych na nią nie przebaczy,
Lecz się upomni o nie w imię Boga,
W młodości — piękna duch, dziś — mara sroga.

— „Za co mię klniecie — mówi — jaką winę
Chcecie wyrzucić mi? Toż ona cała,
Żem was w młodości, jak matka dziecinę,
Tuląc, w sen słodki pieśnią kołysała.
Biada tym, których w pochodzie ominę!
Toż nie grzech żaden, ale zaszczyt, chwała,

Że ludzi w piękna cudne strefy wiodę,
Sącząc w ich dolę jedyną osłodę.

„Czyliż jam winna, żeście pomysłeli,
Iż miłość ziemską i rozkosz uścisku
Jest szczytem wszego? żeście oszaleli,
Świt niebios chcieli widzieć w złudnym błysku?
I że, zsunawszy się w głębie topieli,
Dziś klniecie, niby losów pośmiewisku,
Swym własnym szalom, marnemu złudzeniu,
Co się sprzeciwia życia doświadczeniu?”

„Człowieczy żywot to jak wielka czara:
Z wierzchu płyn słodki, lecz, im pijesz dalej,
Tem bardziej gorzki — u spodu puhara
Męty i, jako na dnie morskich fali,
Potwory drzemią — z nich największy.. kara
Dla tych, co ślubom młodości skłamali,
Życie przeżyli całe w jednej chwili
I w głupim szale czarę swą zmąčili.

„Jeśli rozumnie pijesz i powoli,
Z wdzięcznością biorąc wszystko, co pogodna
Pora nadarza nam w tej ziemskiej doli,
Gdy cię nie zmrozi zbyt chłodna,
Ni niespodziany cios zbyt zaboli:
To w czaszy życia nie dosięgniesz do dna
I w niedopitym zostawisz puharze
Męty, któremi Bóg złe dusze karze.“ —

Niebianko święta! toć nie twoja wina,
Iż rzeczywistość wciąż tve sady łamie,
Twą przędę płacze i węzły rozcina,
Które związałaś, i zetrzeć tve znamie
Ze wszego pragnie; że piętno Kaina
Na człowieczeństwa wypisano bramie:
Tyś nie przyniosła mąk ni udrczenia,
Lecz iskrę, która serca rozplomienia, —

Tę iskrę, która, darem łaski bożej,
W płomień ożywczy wzmaga się i grzeje,
Gdy rzeczywistość, chłodem ziejąc, mnoży
Strapienia, niszczy żądze i nadzieje;
Która spragnionym zawsze zdrój otworzy,
Na rany serca zbawczy balsam leje
I słabym daje zapas sił bogaty,
By przetrwać mogli i męki i straty.

O wy, tej iskry marni gasciele,
Czem zapełnicie pustkę w biednej duszy?
Gdzie odnajdziecie czarodziejskie ziele,
Które złych uczuć twarde łańcuch skruszy?
Przed jakim bóstwem i w jakim kościele
Błagać będziecie, w nieznosnej katuszy,
By wam to dała jakaś siła w świecie,
Co tylko sami sobie dać możecie?

Bronisław Grabowski.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Poszedłbym obalić swego przeciwnika.—
A w walce tego rodzaju wysuwanie uczciwości
na pierwszy plan nie jest właściwe. Sądę, że
wszyscy jesteście uczciwi. Nieuczciwi mają za-
kazane przez kodex stawianie do walki.

— I chcesz zburzyć fortecę, którą Stańczyki
opanuują?

— Zobaczymy.

— Do zajęcia jej będziesz za słaby.

— Zobaczymy. Może wtedy załoga fortecy
przejdzie do mych szeregów.

— Nie chciałbym odgrywać roli młota wręczak
mym wrogów.

— Kto w rezultacie będzie młotem...

— Ty — przerwał Tadeusz.

— Być może, na początku i na chwilę, lecz ko-
niec wieńczy dzieło — odparł Karol, siłąc się na
spokój.

Adam przypatrywał się walce dwóch przyja-
ciół, myśląc:

— Ktoby się spodziewał, że ze mnie taki dobry
dyplomata! Gdyby ojciec tu był, widział i sły-
szał, nie posiadałby się z radości.

Służący ukazał się we drzwiach, prosząc na
obiad.

Wszyscy trzej radzi byli tej przerwie. Radwan
podał rękę Tadeuszowi, robiąc miejsce dla Adama.

— Kochany Tadeuszu—odezwał się wesoło—dzie-
lą nas różnice, lecz ty sam niedawno powiedziałeś,
że jestem twoim dalszym ciągiem. Pozwólże mi
więc rozwijać swobodnie ów dalszy ciąg.

— A mnie pozwól pilnować, aby drugi tom
nie odbiegł zbyt daleko od pierwszego.

Na tem się skończyła walka. Przy obiedzie
rozmawiano o polityce, sztuce, podróżach, kobie-
tach i koniach. Gospodarz coraz więcej oczarow-
ywał Adama oryginalnością i odwagą w poglądach.
Tadeusz, milczący, poważny, zamysłony,
mało się przyczyniał do ożywienia rozmowy.

Po obiedzie Adam zapragnął obejrzeć stajnie.
Wyszli, zostawiając Tadeusza przy drugiej fili-
żance czarnej kawy, cygarze i dziennikach.

— Kandydujesz pan do rady nadzorczej?—spy-
tał pierwszy Adam, gdy byli sami.

— Dotąd nie miałem zamiaru.

— Lecz zamiar zmieniasz?

— Podrażniony przez Tadeusza, być może. Po-
winnismy raz wy dobyć się z przygniatającej nie-
woli powag; inaczej nic się zrobić nie da. W tej
atmosfera górnych frazesów tylko zidyocieć
można.

— Podzielam zdanie pańskie w zupełności. Je-
żeli tylko kto będzie miał odwagę otwarcie i gło-
sno wypowiedzieć walkę, znajdzie poparcie.

— Wierzysz pan w to?

— Najzupełniej.

— Obóz, do którego ojciec pański należy, po-
parłby występującego, nic nie żądając w zamian?

— Jestem tego pewny; o żądaniach niema
mowy.

— Mówisz pan z własnego przekonania?

— Mówię upoważniony przez mego ojca.

— Ojciec pański przekłada radykała, jakim ja
jestem, nad nieoznaczonego temperamentu środ-
kowca?

— Ojciec mój również się dusi w atmosferze
tutejszych stosunków i połączyłby się z każdym,
byleby zwyciężyć.

Karol się zamyslił; tymczasem przyprowadzili
konie. Adam, wielki lubownik, chociaż nie znaw-
ca, chwalił i rozpytywał się. Karol słuchał z po-
błażaniem, odpowiadał ze stanowczością i powa-
gą nauczyciela.

— Obóz, do którego ojciec pański należy, ilu
głosami rozporządza w powiecie? — zwrócił się
raptownie do Adama, gdy wracali do domu.

— Pewnych dwadzieścia.

— Z tych, jeżeli się nie stawi dwóch, przegra-
my i skompromittujemy się.

— Jednym z wielkich przymiotów obozu mego
ojca—karność. Nie chybi ani jeden, w razie cho-
roby są pełnomocnictwa.

— Ja dostawię piętnastu—rzekł Karol—a więc
pięcioma głosami możemy przegłosować.

— Co mam powiedzieć ojcu?

— Że zgoda; porozumiemy się i obliczymy
w miasteczku, na godzinę przed wyborami.

— Przed Tadeuszem? — spytał cicho Adam.

— Ani słowa. Terroryzuje mnie swoją wyrafi-
nowaną delikatnością i czułościwością, której
my już dziś nie jesteśmy zdolni zrozumieć. Od-
dany Rębowskiżynie, chociaż narzeka razem z na-
mi na jej rządy, gotów uważać za zbrodnię wy-
stąpienie przeciwko niej.

— Czy to całe pokolenie 60-go roku było tak
wyrafinowane w czułości? — rzucił pytanie Adam

— Niezawodnie; a przynajmniej wybitne oso-
bistości, w których się to pokolenie streszczało.

— Biedacy.

— Zastawili rozum w lombardzie uczucia—do-
kończył Karol.

Ożywni weszli do pokoju. Tadeusz odłożył
dziennik, wpatrując się w nich z podejrzliwością
kospiratora.

Zajechała amerykanka na wysokich kołach.
Karol obdzieliwszy swych gości cygarami, usado-
wił ich wygodnie, sam zaś pochwycił lejce, bat
i z szykiem warszawskim powoził.

— Połowę kaczek zabieram do domu, a drugą
połowę odwożę Julci.

— I oddasz je wraz z sercem i ręką — odparł
Tadeusz napozór spokojnie, był jednak blady i
zdenewrowany.

Nastąpiło przygniatające obu milczenie.

— Pozwolisz, że je oddam, zatrzymując przy
sobie serce i rękę.

— Nie — odparł cicho Tadeusz — nie oddasz.
A jeżeli się odważysz, to ci pokażę drzwi.

— Co to znaczy? — zawołał Adam.

— Nic, tylko, jako uczciwy człowiek, powinie-
neś się oświadczyć. Ponieważ jednak kodex u nas
tego rodzaju przestępstwa toleruje, nie oświad-
czysz się i dlatego drzwi uczciwego domu są od
tej chwili dla ciebie zamknięte.

— Jakąż to popełniłem zbrodnią, na jakiej pod-
stawie mam się oświadczać? Co mnie do tego
zmusza i kto?

— Nie krzycz — odparł Tadeusz, siłąc się na
spokój — krzykiem mnie nie przestraszysz. Bywa-
łeś przez trzy miesiące, za często, jak na znajome-
go, a że jesteś bogaty, nikt z młodzieży nie ośmie-
lił się z tobą współzawodniczyć. I dlatego, jeżeli
jeszcze raz pojedziesz, to po to, aby się oświad-
czyć, lub uprzedzona przezemnie matka, nie przy-
jmie cię. Czy teraz rozumiesz?

— Rozumiem i odgaduję zręcznie zastawioną
na mnie pułapkę.

— Milcz! — wrzasnął Tadeusz.

Adam, oparty o ścianę, nastawił lufę dubeltówki
w stronę Tadeusza i cicho, a dobitnie, urywaniem
głosem, mówił dalej:

— Jako przyjaciel domu powinienes być mnie
ostrzedz wcześniej. Jako przyjaciel domu powinie-
nienes inaczej dziś do mnie przemawiać. Mam sła-
bość do tej dziewczyny, wielką słabość: wzruszo-
ny twą wymową i jej łzami, mógłbym uleść —
uległbym z pewnością...

— Dziewczyna nie wylewa za tobą łez. A twej
uległości miałem dowody. Podstępem kazałeś mi
się wieść do Grabin, aby tam uknuć spisek prze-
ciwko człowiekowi, z którego córka, gdybyś był
ublagany, możebyś się ożenił. Występowałeś ja-
ko agent partyi i nie wahałeś się zdradzić lud-
zi za to jedynie, że cię gościnnie i serdecznie
przyjmowali w swym domu—tychsamych, z któ-
rych córka, gdyby cię umiano prosić, ożeniłbyś
się.—Zaśmiał się tak jakoś piekielnie szydersko,
że aż dreszcze przeszły po skórze Adama.

— Występowałem otwarcie, bo inaczej nie brał-
bym cię na świadka. Do Grabin trafiłbym sam.
Co zaś do panny Julii, rozumiem dlaczego wo-
zileś mnie do Rębowa, a nie zawiozłeś ani razu
do Radwana. Wiedziałeś z góry, że ożenić mnie
będzie sprawa ciężka i trudna, gdy ożenić Rad-
wana, można było łatwo i prędko. Ty kochasz
dziewczynę i dlatego...

— Precz! — krzyknął Tadeusz zachrypłym gło-
sem, chwytając za dubeltówkę. Adam wybiegł,
trzaskając drzwiami. Za chwilę rozległ się po
bruku odgłos kół i kopyt koni, zmieszany z pie-
kielnym śmiechem. Śmiał się w odwet przyjaciel-
owi Adam.

Bruk się skończył, wózek wtoczył się na bocz-
ny gościniec, konie się rwały do domu, wózek
płynął po morzu piasku, cicho i monotonicznie. Mło-
dzieniec wpatrywał się w roziskrzone gwia-
zdy, rozsiane po ciemno-niebieskim błękitnie.

— Julciu — deklamował w duchu — twój boski
biust, nigdy nie spłynie w moje objęcia i nigdy nie
będę pił rozkoszy z twych odchylonych łubieżnie
ust... Przeżyta awantura i cisza nocy ostrzyły

mu nerwy... A gdyby uprzedzić starego romantyka—i jutro?... Na co czekać do jutra?—dziś, w tej chwili!

— Do Rębowa — zawołał.

— Gdzie jaśnie pan każe?—spytał woźnica, nie dowierając swemu słuchowi.

— Do Rębowa — powtórzył ostro i stanowczo. Woźnica w milczeniu zawrócił konie, batem swisnął, wydobył się za chwilę z piasku i pomknął.

— Co to będzie za radość, jakie rozrzwienie, jakie uściski, wszystko ukoronowane łzami szczęścia Julci! Zemszczę się, postawię na swoim, zadziwię świat, a w dodatku: jaką będę miał żonę! kłękajcie narody!—I w dalszym ciągu zaczął rozkoszować się, rozbierając po szczególe piękność Julci.

Szczekanie dalekie psów zbudziło go z marzeń.

— Gdzie jesteście? — spytał.

— Dojeżdżamy do Rębowa, jaśnie panie.

— Zwolnij. — Furman ściągnął konie, jadąc stępa.

— Czy ja naprawdę myślę to zrobić?...—Stał mu przed oczami ojciec, rzucający na niego przekleństwa, matka mdlejąca z rozpacz. Za przekleństwem ojca wychylało się chwilowe ubóstwo, ciężka praca na kawałek chleba... Tyle bolesnych przejść.

— Czy jaśnie pan każe zajechać przed dwór?—spytał chłopak siedzący na kozle—świeci się jeszcze w salonie.

— Stań.—Jechać, nie jechać; jechać nie jechać, liczył na palcach u rąk i rad był, że mu wypadło: nie jechać.—Mam przecie dosyć jeszcze czasu namyślić się w domu. Ile kaczek mamy w wózku? — zapytał służącego.

— Ośm, jaśnie panie.

— Weź cztery, zanieś je do kuchni i wracaj.

— A gdy się zapytają, co mam powiedzieć?

— Żeś przyjechał konno.

— I nic więcej?

— Ani słowa.

Chłopak za chwilę wrócił, siadł na kozioł, zaczął konie i w godzinę zawiózł swego pana do domu.

Tadeusz długo słyszał śmiech rozlegający się po ulicy wśród ciszy nocnej. Szumiał mu i dzwonił w uszach, wstrząsając całym organizmem.

— Ja kocham ją i to musi być wypisane na mojem czole. Wszyscy widzą i czytają, nawet ten błazen zobaczył. Dobrze mi się wywdzięczył za chęć rozbudzenia w nim podnioslejszych myśli, szlachetniejszych uczuć... Twoje reformatorskie zapęły zawsze się prawie tak kończą, a tyś dotąd niczego się nie nauczyłeś! Ten może mnie przecie wyleczy... choć na dwa tygodnie! — Uśmiechnął się smutno.

— Z zazdrości i obawy nie zawiozłeś Radwana do Rębowa! — Pomysł piekielny! — Rzucił mi w twarz tak cynicznie, tak był pewny tego, co mówił... Ależ Radwan i Rębowski nie chcieli—ludzie stojący na przeciwnych krańcach pojęć i zasad. Bałem się zaproponować marszałkowi poznanie... Czyś ty się czego innego nie bał? Karol młody, przystojny, oryginalny, ambitny i gorącej krwi, oparty na ładnej wiosce, mógłby się podobać. Gdybym go przywiózł do kobiet, przyjęłyby go serdecznie. A jeżeliby się podobał, Julcia dałaby sobie z nim radę... Egoizm twój i skryta zawiść zniszczyły przyszłość dziewczyny, którą kochasz.—Schwylił się za głowę. Wyrzuty sumienia zaczęły wstrząsać nerwami wrażliwej natury. Zaciasno mu było w czterech ścianach pokoju i zaduszno. Wybiegł na ulicę, z ulicy na pola, i znaną sobie drogę, idąc szybko, dotarł o wschodzie słońca do Rębowa. W mieszkaniu ekonomy umył się. Zimna woda go orzeźwiła i oprzytomniła; odpoczął, wypił szklankę mleka i poszedł wprost do pokoju marszałka.

Nikt we dworze nie dziwił się tej rannej wizycie; nie zdziwił się i marszałek, przyzwyczajony do tego rodzaju niespodzianek.

— Jakie wieści kochany pan przynosisz?—pytał, witając się serdecznie.

— Niedobre — odparł Tadeusz.—Spisek uknuty, Stańczyki połączyli się radykałami. I aby nie dopuścić wyboru marszałka do rady nadzorczej, solidarnie będą głosować na Radwana.

— Czy to pewna wiadomość?

— Najpewniejsza. Wczoraj Adam, pod pozorem polowania na kaczki, namówił mnie, abym go zawiózł do Grabin.

— I tam podpisali *pacta*...

— Nie podpisali, lecz się wybornie porozumieli.

— I spodziewają się większości?

— Zdaje się, że są jej pewni.

Marszałek się zamyslił.

— I cóż kochany pan radzisz?

— Ostentacyjnie wprowadzić Radwana na salę wyborów. Zrzec się kandydatury, polecając wyborcom nowego człowieka.

Przez usta marszałka przemknął się ledwo dostrzegalny uśmiech z odcieniem złośliwości i niedowierzania.

— Gdyby to można — rzekł poważnie, siląc się na spokój — gdyby to można, uprzedziłbym Stańczyków. Lecz cóż? partya nasza, złożona przeważnie ze starowierców, nie zgodzi się na radykała. Powstałaby burza, krzyki, protesta, z czego skorzystałby pan Jan. Cóż panu tak usilnie zależy na wyborze Radwana?

— Marszałek podejrzewasz mnie o intrygi? — Tadeusz się zerwał.

— Ależ nie, przysięgam, że nie. Gdyby tak było, nie przychodziłbyś ostrzegać mnie. Siadaj drogi pan i mówmy, jak przyjaciele, dla których niema tajemnic.—Pochwylił go w ramiona napowrót, posadził i, przysunąwszy się do niego, mówił cicho:

— Kandydatura moja powinna przejść, w radzie nadzorczej zasiąść muszę. Wybór dyrektora nastąpi tej zimy, mam zapewnioną większość. Wiem sam dobrze, że interessa Rębowa są nieco zawikłane, skutkiem zbyt kosztownego gospodarstwa. Gdy zostanę dyrektorem, Rębów puszczyć w dzierżawę, sam przeniosę się do miasta. Wtedy i Julci łatwiej będzie znaleźć męża. Myślałem, że Adam... lecz mówisz pan, że spiskuje przeciwko mnie, podburzony przez ojca. Mniejsza—może i dobrze się stało. Mam nieprzewidywany wstręt do spanoszonego dorobkiewiczów. Julcia w Krakowie może znaleźć sobie człowieka z naszej sfery. W pierwszej chwili wiadomość o zdradzie Adama zabolala mnie, lecz teraz pocieszam się tem, że dziecka swego nie poświęcę zgodzie ze Stańczykami i sam nie zdradzę obozu. Piszą mi, że Stańczyki dokładają wszelkich sił, aby mój wybór unicestwić i tym sposobem nie dopuścić mnie do dyrektorstwa. Pan mi przynosisz wieść o połączeniu się ich w powiecie z radykałami. Wiadomości się zgadzają.

— Nie ulega żadnej wątpliwości — rzekł Tadeusz — że Adam wczoraj wystąpił jako agent Stańczyków i zręcznie całą sprawą kierował.

— Panie Tadeuszu, widzisz sam, że musimy zwyciężyć koniecznie, niezbędnie, choćby ostatni raz, ale zwyciężyć bezwarunkowo.

— Nie przeczę — odparł Tadeusz — lecz są wielkie trudności, prawie niepodobieństwo, jeżeli nie rozbijemy przymierza Stańczyków z radykałami.

— Jakim sposobem?

— Radwana przyciągnąć do siebie i namówić, aby nie kandydował.

— To tylko jedynie możesz pan zrobić.

— Dziel jest mi trudniej, niż każdemu innemu. Lecz może byłby sposób.

— Mów pan śmiało i otwarcie.

— Pojechać do Radwana, zaprosić go do siebie. Młody, przystojny, rozumny, średnio zamożny, dobrze wychowany—może się podobać.

Marszałek się uśmiechnął.

— Układasz pan polityczne małżeństwa. Najpierw Stańczyka, a teraz radykała. Może to za wiele dla jednego wyboru. Przynajmniej za Adamem przemawiał milion i stosunki. Przypuszczam pan nareszcie, że jesteśmy bliżej Stańczyków, niżeli radykałów.

— Raczej dalej, w mem przekonaniu.

— Nie walczmy o przekonania w tej chwili. Mnie nie wypada jechać do młodego człowieka, lecz panu wolno go przywieźć. Przyjęty będzie tak samo gościnnie, jak wszyscy moi sąsiedzi. Tymczasem obliczajmy się ze środkami, które mamy w rękach. Może mi się uda żydów przecią-

gnąć na swoją stronę. Gryzio ich operuje od wczoraj. Kulakowska dała mi plenipotencją, przybywa jeden głos więcej. Ach żydzi—żydzi! gdyby się z nimi udało!.. Nie traćmy nadziei i wiary—naprzód!

Widocznie marszałek nie rozpaczał po rozchwianiu się zamiaru wydania córki za Adama. Gdy jeden projekt upadał, ródził się w jego głowie w tej chwili drugi, idealniejszy i świetniejszy od poprzedniego. W pomysłach był niewyczerpany, a wiara w ich powodzenie nie odstępowała go nigdy.

Po herbacie marszałkowi zwierzyła się przed Tadeuszem z przyjęcia przysłanych przez Adama dzikich kaczek.

— Odesłać je natychmiast konnym posłańcem—zadecydował gorączkowo.

— Już wszystko skończone, niema nadziei — żyły zaświeciły jej w oczach. — A więc trzeba będzie pożegnać się z Rębowem. — Odwróciła się, ocierając łzy chustką.

— Pani marszałkowi — mówił wzruszony Tadeusz — mamy jeszcze środki bronięcia się.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

— Adam nas zawiódł, lecz usunięciem się swem otworzył zatarasowaną dotąd przez niego drogę do Rębowa.

— Słucham — szepnęła.

— Radwan — wymówiwszy to nazwisko, czekał chwilę, patrząc, jakie zrobi wrażenie.

— Radwan — powtórzyła nie kryjąc zdziwienia. — Ten radykał, niewierzący w Boga, bez religii i narodowości, kosmopolita, przyjaciel żydów? I takiemu człowiekowi radzisz pan oddawać jedyne dziecko, za problematyczną pomoc!

— Ależ wierzy w Boga i kocha kraj, może silniej, niż my. Przytem rozumny, energiczny, dobry gospodarz. Mógłby sprzedać Grabin, a kupić Rębów.

Obrona radykała i projekta nie trafiły do przekonania marszałkowej.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Faust, tragedia Goethego, przełożył Ludwik Jenike, wydanie 1-e w *Ateneum* z r 1887 i w osobnym odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp. 1889, druk Emila Skińskiego (str. 244, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszemi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezji lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez A. A. K., odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera), str. 53, 8-o.

Mieliśmy już w języku swoim *Dziwice Orleańska* Schillera, kiedy Goethe w przekładach zaledwie wychylać się zaczął. Pierwszym jego większym utworem przyswojonym są, w przekładzie Brodzińskiego, *Cierpienia młodego Werthera*. Tłómaczenia z Schillera zjawiały się już za księstwa po czasopismach. Później przybyły owoce trudów Brodzińskiego, Odyńca, Minasowicza. W poetyckiej dobie swojej zbierał je Bielowski. Mickiewicz dał pięknie wysłowioną *Rekawickę*. Największą zasługę w dawniejszych czasach położył J. N. Kamiński; pięknego jego przekładu *Dzwonu* uczylimy się w szkołach. Pomiędzy 1850—60 rokiem ukazały się dramata szyllerowskie w jednym zbiorze, ale nie wszystkie; próżnią, jaką wytwarzał brak *Wallensteina*, wypełnił Wł. Sabowski¹⁾. W najnowszych czasach, (1883—5) z wydawniczych rącej, niż literackich pobudek, pojawił się nowy ilustrowany zbiór przekładów (we Lwowie). Wszystko to jeszcze nie odpowiada potrzebie, jeżeli ta ma być porządnie, w sposób godny mowy wielkiego narodu, zaspokojoną. Chcąc mieć Schillera a wraz z nim i Goethego, w języku polskim, potrzebą, przynajmniej dla utworów lirycznych

1) Przedtem już tłómaczył *Wallensteina* J. N. Kamiński.

wytworzyć umyślne grono znawców i artystów słowa, rozumiejących doskonale oba języki a mających w sobie ten złoty kamerton, który przy wyborze wydaje ton nieomylny. Jak każdy tłumacz, tak, a *fortiori* jeszcze, to grono tłumaczy powinno być poetycznie, choć nie twórczo, uzdolnionem: sama wiedza i umiejętność budowania wierszy, dobierania wyrazów i kształtowania wyrazów nie wystarczy. Tłumacz musiał być kiedyś sam poetą—choćby utajonym, aby mógł potem tłómaczyć poetów już objawionych i większych od siebie. Dar poetyczności,—niebędący jeszcze talentem poetycznym, siłą do działania samoistnego gotową i zdolną, — jest niezbędnym czynnikiem wszelkiej pracy nad przyswajaniem poetów obcych. Ale w życiu najczęściej—wmyśl tego, co powiedział Goethe—czego potrzebujemy, tego nie mamy, a co mamy, to nam się na nic nie przyda: wierszowanie i poetyczność rzadkokiady chodzą w parze.

A pary tej potrzeba szczególnie dla Goethego. Jego liryki może nie przypadały nam do smaku, tak jak szyllerowskie — co nie byłoby wielką herzezą — ale niezależnie zupełnie od tej niechęci czy obojętności była i przyczyna inna: trudność przekładu, o wiele większa, niż przy Schillerze. Dopiero w ostatnich latach (1879) doczekaliśmy się większego zbiorku liryków Goethego, dzięki p. Zathej'owi.

Jeżeliby kiedy przyszło do owego systematycznego wydania, Goethe musiałby przedewszystkiem zwrócić na siebie pracę tłumaczy; za ledwie bowiem drobny tylko ułamek jego poezji lirycznej wnieśliśmy dotychczas do przybytku swej mowy.

O *Fauście* najpierwszy może pomyślał Antoni Szabrański, znawca i miłośnik literatury niemieckiej; miał on już do swej *Panoramy* przygotowany całkowity przekład w szufladzie. Czy go ztamtał wydobyc? Nie wiem. Piękny Bielowski *Prolog* stoi samotnie. W *Arcydzielach dramatycznych* wydanych w Wilnie, w r. 1845 r., znajduje się poraz pierwszy w języku polskim cały — a raczej względnie cały — *Faust* cz. I. Walickiego; po nim tłómaczył jeszcze poemat niezmordowany Józef Paszkowski; po Paszkowskim w r. 1857 nowy tłumacz, skromnie podpisany literami Z. Z., dał przekład całej części pierwszej z wyjątkiem *Prologu w niebie* ¹⁾. Nie ten przecież przekład wszedł do *Biblioteki najcenniejszych utworów europejskich*, ale nowy, obejmujący obie części poematu, a opracowany przez p. Felixa Jezierskiego (1880). Gdy krytyka zachęcała do nowych prób, wstąpił w szranki p. Ludwik Jenike, dobry znawca języka i wiersza polskiego, znany z przekładów *Ifigenii Hermana i D.*, *Tassa*, *Reinke Lisa* i w r. 1887 wydrukował w *Ateneum* czwarty z rzędu przekład części I; dobrze zrobił, że nie tłómaczył drugiej, która i w *Bibliotece* była zbyt ciężką. Przekład ten, poprawiony, ukazał się w końcu r. z. w nowym, czysto już książkowym, wydaniu. O niem właśnie pomówić tu chcemy.

Bezwarunkową wyższość nad dawniejszymi tłumaczami posiada nowy w różnaitości i bogactwie rytmu oraz zabiegliwości o przystosowywanie się pod tym względem do samego oryginału. Jest to ważny moment we wszelkich przekładach; niektórzy, jak Odyniec w Byronie, nadawali mu nawet znaczenie jakby *kategorycznego imperatywu*; np. śpiew Medory w *Korsarzu* „Deep in my soul that tender secret dwells“ starał się Odyniec oddać równie krótkomiarowym wierszem, choć przez to skracał i miarę samych myśli. Teoryi tu jeszcze niema; wydaje się tylko właściwym następujący porządek tych wartości, tych zdobyczy, o które tłumacz ubiegać się powinien. Najpierw idzie myśl, potem obraz poetyczny, potem słowo, a dopiero po nich wiersz, ze swemi momentami: miary rymu, rytmu, akcentu — sam w sobie i w stosunku do innych. W tem wszystkim panować musi, jeśli nie tożsamość, na którą nie pozwalają same różnice naturalne, to analogia, tak, aby przekład mógł być odbiciem oryginału. Karygodne są zarówno dodatki, jak opuszczenia, a najwyższym prawem —

dokładność. Kunszt tłumaczy przedstawia się zatem jako bardzo trudny. Potrzeba do niego już czegoś, co z talentem samym graniczy; a wszystkie jego dzieła, przy największym nawet nateżeniu tej ściśle nieokreślonej siły, muszą być owocami ciężkich trudów, jeżeli mają być istotnie przekładami, a nie przyswojeniami, choćby najznakomitszemi, jak nasze tłumaczenia Mickiewicza i Słowackiego.

I trudu nie pożałował p. Jenike: niezupełnie jeszcze zadowolony z przekładu w *Ateneum*, przejrzał go starannie, wygładził i nanowo wydał. Zmiany są tu zresztą niewielkie. *Faust* poprawiony woła do ducha szczęścia: „Przyjść musisz! chociażby kosztem mego życia“ — zamiast: „Tyś mój! chociażby kosztem mego życia;“ a na str. 46: „Tyś stracił połot mój zuchwały“ — zamiast: „Tyś mnie odrzucił, bom zuchwały.“ Dalej, str. 47: „Zasłaby on (klucz) na siłę mych wrzeczadzy“ — zamiast: „klucz słaby, nie usunie on wrzeczadzy;“ na str. 48 naczynie „kruche,“ pierwaj było „szacownem;“ str. 71: „Gnom niechaj trud uczuje“ — „Gnom niech się namozoli;“ str. 73: „Owej siły cząstka mała, co pragnie zła, a zawsze dobro zdziała“ — „...co, złego pragnąc zawsze...“ *Faust* (str. 88) zawołać ma na chwilę: „Trwaj“ a nie „Stań;“ na str. 90 dwuwiersz: „Chcę poznać czasów głuchy szum, Zamętu wir, wypadków tłum“ zastępuje dawniejszy: „Rzućmy się w czasów głuchy szum, W zamętu tok w wypadków tłum;“ na str. 144: „Lecz każdy dziś do złota prawo rości, A wdzięk i młodość małe to zalety“ — zamiast: „Lecz każdy dzisiaj prawo sobie rości, By inne posiąść w nas zalety;“ str. 151: „Mąż pani w w Padwie pogrzebiony, Bo zaszedł aż w italskie strony, Spoczywa w miejscu poświęconem“ — zamiast dawniejszego: „Mąż pani u świętego Antoniego, Pogrzebion w Padwie. Tam go strzegą Anioły w miejscu poświęconem.“ Przerobione jest całe przemówienie *Fausta* do *Mefistofelesa* na str. 159 (*Lass das! Es wird...*) i przerobione dobrze. Lekką zmianę wprowadził tłumacz do naiwnego opowiadania *Małgosi*, jakie to są jej zajęcia domowe (str. 163 „Sprzątanie, gotowanie...“) Na str. 166 znikła ze słów *Fausta* niepotrzebna „pokora;“ w tejsamej rozmowie są jeszcze dwie zmiany (str. 166) i jedna na 175 (porządek wyrazów). *Śpiewka* przy kołowrotku w nowym opracowaniu kończy się: „Wiecznie go całować do skończenia świata, Chociaż w tych całusach grozi mi zatrata;“ poprzednio było: „Wiecznie go całować, Ilebym zechciała, Choćbym w tych całusach Sama zginać miała.“ Na str. 181 przywrócił tłumacz dwa wiersze umozzone w pierwszym opracowaniu: „Und ihre Antwort scheint mir Spott Ueber den Frager zu sein.“ *Walenty* umiera teraz ze słowami: „...jako żołnierz nieskałany niczem, Przed Boga mogę stawić się obliczem;“ a pierwaj umierał, mówiąc: „...jako żołnierz nieskałany, prawy, Na Boga idę sąd laskawy.“ Są jeszcze zmiany na str. 233 i 234. W samem zakończeniu dramatu wyrzucenie „Dosyć tego krzyku,“ nieistniejącego w oryginale, było koniecznem.

Nie wszystkie z tych zmian są stanowczo zmianami na lepsze. Lepiej opowiadał *Mefistofeles* o grobie *nićponia* (str. 151) i lepiej zakończyła *Małgosia* swą tkliwą piosenkę; ale wogóle przekład trzeba nazwać poprawionym i uznać już za ostateczny czyn tłumacza w zakresie *Fausta*. Porównanie z oryginałem i z poprzednimi przekładami wykaże całą czynu tego wartość.

W *Fauście* jest i wspaniała poezja, przesycona romantyzmem, nawet dziwactwami średniowiecznemi — które tam weszły jakby zabytki epoki mistycznej w życiu poety — jest i on sam, w niejednej chwili życia pewno odczuwający w sobie *Fausta*; ale nadewszystko jest mądrość, dziwnie poetyczna, jakiejbyśmy w martwych księgach specjalnych majstrów od rozumu daremnie szukali. Goethe z tą mądrością, nawijaną już na własną osobistość swoje, występuje przedewszystkiem w *Prologu*. Wzruszającą jest liryka *Przypisania*, czarownie pięknem wołanie poety: „So gieb mir auch die Zeiten wieder,“ świetnym manifestem łączony z protestacją przeciwko małości i tandeciarstwu. Kiedy brałem nowy przekład do ręki, zjęła mnie przedewszystkiem ciekawość: jak też tłumacz wybrnął z wielkich trudności zamknię-

tych w tych trzech ustępach. Niegdyś w złotych dniach młodości deklamowało się je po górach *Odenwaldu*, z zapalem drwiącym jeszcze z zawodów i cierpień. W *Przypisaniu* uderzyła mnie składnia: „Co niegdyś was“ zamiast „których,“ powtórzona w wierszu ostatnim zwrotki drugiej. „Jej poklask nawet budzi we mnie żal“ nieodpowiada oryginałowi: *Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang.* Trzecią zwrotkę lepiej przetłómaczył, choć rytmu nie dotrzymał, p. Alexander Krajewski, ukryty pod ową zdwojoną ostatnią literą alfabetu, w *Bibliotece Warsz.* z r. 1857. Dowód:

Już się pieśniami cieszyć następniemi
Nie będą dusze, co pierwszych słuchały!
Próżno za braćmi oglądam się memi:
Pierwsze współczucia odgłosy przebrzmiały,
Dziś przed tłumami śpiewam nieznanemi;
Trwożą mnie nawet same ich pochwały!
Dawni słuchacze! jeżeli żyjecie
To rozproszeni po szerokim świecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Dawno już nie pamiętamy tak przepelnionego publicznością koncertu, jak ten, w którym brała udział młodziutka sopranistka szwedzka, panna Nikita. Reklama zrobiła swoje, słuchacze zebrałi się tłumnie; następnie krytyka uczyniła też swoje, to jest oceniła śpiew panny Nikity surowo. Według naszego zdania, tak pierwsza, jak i druga, przesadnie spełniły swe zadanie; kraj nasz nie przywykł do amerykańskich sztuczek wywoływania popularności, powiemy nawet, że nie potrzebujemy ich, albowiem i tak bardzo zdadni jesteście do podziwiania wszystkiego i pożądania nowości. Co zaś do krytyki, to sąd zapadł bez łagodzących okoliczności, a zatem trochę niesprawiedliwie. Panna Nikita błędzi rzeczywiście tem, że zawcześniej rozpoczęła swą karierę śpiewacką, że forsuje nieodpowiednim repertoarem swój głos nierozwinięty jeszcze; lecz odmówić jej pewnej już zdolności władania nim, lub poczucia artystycznego, to znów niepodobna. Głos sam przez się jest bardzo miły, dźwięczny i czysty, w rejestrze niższym niewykształcony jeszcze i przez to słaby, lecz podatny do wyrobienia. Oprócz naturalnych zalet głosu, panna Nikita posiada bardzo ładne *mezza voce* na wysokich nutach i wiele *expressy*; jeśli zaś siła i akcenty dramatyczne nie dopisują, to jeszcze przesadzać o przyszłości młodej śpiewaczki nie można.

Pan Rebieczek, dyrektor orkiestry teatralnej, święcił jubileusz dwudziestego koncertu symfonicznego przez siebie zorganizowanego. Przypuścmy, że przy odpowiednich środkach, którymi rozporządza, nie trudno było panu Rebieczkowi pokonać trudności towarzyszące wogóle większym wystawom artystycznym; w każdym razie należy mu się uznanie za podniesienie myśli wznowienia koncertów symfonicznych, które tak stale dawniej nie udawały się, i podania ich w tak milej formie, że nareszcie znalazły uznanie i poparcie publiczności. Nie dziwnego więc, że stali słuchacze zapragnęli dzień ten dwudziestego koncertu usłyszeć owacyjnymi oklaskami i ofiarowaniem dyrygentowi wieńca. Symfonia *Raff'a* „W lesie“, wykonana bardzo dobrze, i „Karnawał Paryzki“ *Svendsen'a*, kompozycja charakterystyczna, lecz nieestetycznie krzykliwa, wchodziły w skład programu, wraz z dziełami wokalnemi, które wykonała wyżej wzmiankowana śpiewaczka, panna Nikita.

Jak to już raz wspominaliśmy, Towarzystwo Muzyczne występuje od czasu do czasu z większemi koncertami poświęconemi wyłącznie prawie jednemu kompozytorowi. W ostatnich czasach odbył się taki koncert, złożony z dzieł *Stanisława Moniuszki*: jedno z najwspanialszych dzieł mistrza

1) Przekład ten znajduje się w t. II str. 645—718 i III str. 45—138 „Biblioteki Warszawskiej.“ W tym samym miesięczniku, w pierwszym roku wydawnictwa 1841, podali próby swoje Paszkowski i Szabrański.

„Sonety Krymskie” stanowiły główną treść programu. Wyobrażamy sobie biednego dyrektora towarzystwa, pracującego usilnie nad wystawieniem tego dzieła, a do ostatniej chwili w niepewności i trwodze o powodzenie; bo zaprawdę, potrzeba było wiele odwagi, aby powziąć myśl wykonania tego dzieła z takimi głosami (tenory), jakie się w chórach Towarzystwa znajdują: to też jedynie wspomnienie dawnych dobrych czasów, gdy jeszcze sam genialny twórca to dzieło wystawiał, gdy cały świat muzyczny warszawski przyjmował udział w wykonaniu, mogło oddziaływać łagodząco na audytoryum, że przebacząc błędy śpiewakom, umiało tylko ocenić mozolną pracę Noskowskiego i jego poczciwe chęci. W każdym razie, wyznajemy, że ciężkie chwile przeżyliśmy na tym koncercie.

Z dalszych stron dochodzą nas wieści o niektórych naszych artystach wirtuozach, zbierających laury i mamone. I tak: pan Śliwiński koncertuje w Petersburgu, z niebywałym powodzeniem, wypełniając świetną swą grą całe wieczory. Krytyka tamtejsza oddaje mu zasłużone pochwały, stawiając go wśród pierwszorzędných wirtuozów tych czasów.

Paderewski po koncertach w Wiedniu ma wystąpić obecnie w Paryżu i zaprodukować jedno ze swych ostatnich dzieł, koncert fortepianowy, przed wybredną i surową krytyką stolicy świata. Ci, którzy mieli sposobność słyszeć Paderewskiego w teraźniejszej jego fazie wyrobienia, jako wirtuoz, nie mają dość słów pochwalnych, by wyrazić swe uznanie pełnemu ognia i siły artyście. Nie mało też ucieszyła nas wieść, że za parę miesięcy i my będziemy mogli go słyszeć, albowiem, jak głoszą, Paderewski, na usilne prośby artystycznych instytucji miejscowych, zjedzie do nas i wystąpi w dwóch koncertach.

Oprócz wyżej wymienionych, jeszcze jeden z najstarszych przedstawicieli naszej sztuki, Józef Wieniawski, przypomina dawnym swym wielbicielom w Petersburgu zalety wykwintnej swej gry i szkoły, która obecnie jednak, coraz bardziej ustępuje miejsca nowym prądom postępowym. Pisma nasze codzienne podały już wcześniej relacje z koncertu Wieniawskiego, wzmiankując o wielkiem powodzeniu artysty.

Panna Wąsowska wystąpiła w zeszłym miesiącu z własnym koncertem. Poważny program składający się z dzieł Beethovena, Rubinstein'a, Liszta, Szopen'a, Zarzyckiego i Schlözer'a, wykonany był bardzo poprawnie, a nawet w wielu razach z pewną brawurą wirtuozowską, świadcząca o prawdziwym talencie koncertantki. Szczególniej „Etюд” Schlözer'a świetnie zaprezentował technikę panny Wąsowskiej, która widocznie przez wdzięczność dla swego nauczyciela z najwyższą starannością wykonała to niezmiernie trudne dzieło.

Druga serya Wieczorów muzyki kameralnej ze współudziałem professorów konserwatorium Warszawskiego, podała nam w dalszym ciągu cenne dzieła klasyków oraz wybitniejsze muzyki tegoczesnej; lecz widocznie nieszczęśliwa gwiazda tych wieczorów nie zaszła jeszcze, gdyż mały napływ publiczności, niedający się niczem usprawiedliwić, tylko za złe fatum trzeba uważać.

Pan Mieczysław Horbowski, professor śpiewu, prowadząc dalej wydawnictwo swej szkoły, dał nam zeszyt pierwszy części II, obejmujący w starannym wyborze komplet ćwiczeń najlepszych autorów; ułatwia on w ten sposób nauczycielom śpiewu mozolną pracę wyszukiwania w rozmaitych szkołach tych ćwiczeń, które uznane zostały za najodpowiedniejsze do kształcenia głosów. Dawniej nieco firma Gebethner i Wolff wydała również bardzo cenny przewodnik elementarno-praktyczny do nauki śpiewu, ułożony przez Franciszka Lamperti'ego dla konserwatorium w Medyolanie. Jest to dzieło bardzo ważne ze względu na praktyczne wskazówki traktowania nauki w tak zwanem postawieniu głosu, a głównie w prowadzącej do tego nauce dobrego oddychania. Rzeczywiście: z całą sumiennością możemy polecić te dwa dzieła kształcące się młodzieży.

Juliusz Stattler.

List z Anglii.

Londyn d. 11 Lutego 1889 r.

Przejawszy się tutejszemi obyczajami, puściłem się na włóczęgę po świecie i ztąd tak zaległem pole obowiązków korespondenta waszego, że oskarżonym być mogę co najmniej o lenistwo. Z czasem podzielię się z wami wrażeniami odbytej podróży; dostaniecie coś wiarogodnych wiadomości o Stanley'u, ale tymczasem zostaję pod zarzutem niesłowności i proszę muszę, szczególnie nadobne czytelniczki, o darowanie przestępstwa. U nas, na miejscu, wszystko postaremu, jak mniej więcej wszędzie: odwieczne biedy, odwieczne pragnienia w nowych sukienkach tylko; aby przecież zacząć od nowiny sensacyjnej, co się zowie, dowiedźcie się, że złota może tu mieć każdy tyle, ile chce, bo może je sobie sam robić...

Pewien alchemik dziewiętnastego wieku odkrył *lapis philosophorum* i ogłosił światu tajemnicę, żądając przytem od królowej, aby dlań urządzono laboratorium w Paryżu, gdzieby na obstalunek: najpierw Anglii, a potem całego świata, produkować mógł złoto! Ten prawnik Sędziwoja nazwiskiem Tiffereau, obiecuje złoto robić ze srebra lub miedzi, zapomocą kwasu saletrowego, wydając sześć funtów sterlingów, czyli 60 rs., na wytworzenie dwóch funtów i dwóch uncyi najczystszej złota, przedstawiającego wartość 144 funtów sterlingów, czyli 1.440 rs. Dzienniki rzuciły się na biedaka, szczególnie *St. James Gazette*, zapytując: czemu się najpierw sam Krezusem nie zrobi? On przecież, nie zważając na to, nie odpowiadając nikomu, domaga się o posłuchanie u królowej, i mówią, że je zyska.

Tymczasem, nim umiejętność robienia złota wszystkich wzbogaci, ludzie szukają sobie do tego prościejszej, a raczej krzywszej, drogi, ale zawsze prędzej do celu wiodącej, i stał się tu w wigilię Nowego Roku wypadek niesłychany. Ambasador austriacki hr. Deym, a raczej jego żona została okradzona na 3.000 sterlingów. Prywatne mieszkanie ambasadora jest na Bournemouth; z powodu uroczystości noworocznych, przeniesiono się ze służbą na dwadzieścia cztery godziny do gmachu ambasady w Londynie i z tego-to czasu skorzystał złoczyńca. Operował przecież tylko w dwóch pokojach: hrabię i hrabiny, gdzie nie wziął nic—nic zgola, prócz jednej szkatułki z klejnotami. A tak nie naruszył nic innego, nie zrobił żadnego nieporządku, że za przybyciem nieprędko dowiedziano się o wypadku i dopiero, gdy hrabia, chcąc udać się do swego pokoju, nie mógł drzwi otworzyć i spostrzegł, że są zamknięte na zasuwkę od wewnątrz, powstał popłoch. Wyważono drzwi i spostrzeżono wtedy, że ktoś tu plondrował, podobnie jak i w pobocznej komnacie hrabiny. Nic przecież nie ruszono więcej: nie wzięto nawet drugiej szkatułki z klejnotami owiele kosztowniejszemi: snadź złodziej był, albo filozof, zadowolniający się miernością dóbr ziemskich, albo ktoś tak przebiegły, że bał się zdradzić z czynem swoim przyzbiecie tak wielkiej liczby niepospolitej wartości przedmiotów.

Mógł je przecież ukryć — przechować przez lata, i czyżby istniała jakaś filozofia złodziejska, której moralność nakazuje ograniczać się we wziętkach swoich? Całą policją tu w ruch wprawiono, a ludzie lamia sobie głowy nad tą szczególną wstrzemięźliwością pana poborcy nonego, który nawet spłoszonym nie został, jak świadczą ślady widocznie spokojnego odwrotu.

Kolonia katolicka miała tu święta Bożego Narodzenia mniej uroczyste, niż zwykle. Kardynał Manning odprawia zawsze w starej katedrze Mszę Północną, czyli ponaszeniu *Pusterkę*, a nazajutrz wstępuje na kazalnicę i mówi kazanie, które można nazwać w całym znaczeniu tego wyrazu pociągającym, podnoszącym dusze. Dwadzieścia trzy lata z rzędu widywano zawsze tę poważnie piękną postać szlachetnego, rozumnego kapłana

na tym posterunku służby bożej; gdy więc w tym roku wyręczył go ktoś z powodu, że słaby, nie mógł spełnić tak późno w noc tego obowiązku najstarszego dusz pasterza: ogarnął wszystkich smutek, jakgdyby wraz z nim ubyło coś z uroczystości, nam zwłaszcza milej, bo przypominającej dom, kraj. Wszyscy przebywający tu Polacy: ubodzy, bogaci, zwykle bywają na tej mszy północnej, i ręczyć można, że każdy modli się z młodą pobożnością lat, zostawionych daleko poza sobą, i wszystko, co się mieściło w czasie lat owych, od wiary, od nadziei młodzieńczych, wraca mu ten moment uroczysty. Seiskają się też potem ręce przy wychodzeniu z kościoła. Niejedno oko zwilży łza, dana na ofiarę wspomnieniom młodości; niejedno w tej chwili tylko—w tej chwili jedynie—przemówi językiem swoim. My młodzi tu poznaliśmy kiedyś starszych, dziś już weteranów życia, z jego szewronami zmarszczek, siwizny i wylysiałego czoła.

Ci szczególnie odczuł brak Manninga, wielkiego naszego przyjaciela. — Ot tak to... mówili melancholijnie—ubywa kogoś i czegoś rokrocznie. Temu, kto się tego doczeka na swoich śmieciach, to nic jeszcze.. Wie, że to prawo natury, i młodzi dorastają też wkoło niego. Ale kto tylko małą kupkę przyjaciół ma na świecie i tej trzymać się musi, aby nie został samotnym, jak kolek w płocie, ciężko jest patrzeć, gdy czas sprawuje wśród niej apel taki...

Wczoraj, to jest 10 Lutego, królowa obchodziła w Osborne czterdziestą dziewiątą rocznicę swego małżeństwa. Cała rodzina zwykle ją wtedy otacza, dzieci, wnuki, a bywa też zawsze przypuszczonych do tej uroczystości królewskiego domu i kilkanaście miłych królowej osób z arystokracji. Przy obiedzie, który jest zawsze niezmiernie paradnym, odbywa się jedna wzruszająca ceremonia. Pierwszy toast za zdrowie królowej wznosi książę Walii i towarzyszą mu serdeczne, gorące wyrazy życzeń przytomnych i rodziny, przyjaciół, ale drugi spełnia się wśród uroczystego milczenia. Ten jest, jak wiedzą już wszyscy, poświęcony pamięci króla małżonka. Wszyscy wstają, podnoszą kielichy w górę i piją potem w cichości, jakgdyby duch zmarłego krążył gdzieś w pobliżu. Jest w tem pewna poezja uczucia—pewna tkliwość dla noszonych w sercu wspomnień, która wzrusza.

Obok dorocznej wystawy *Akademi Sztuk Pięknych*, która nie cieszy się w Europie rozgłosem paryżkiego „Salonu”, bo jest czysto angielską i nie gromadzi tylu dzieł wyższego znaczenia, otwartą tu została inna, więcej zajmująca publiczność: historyczna „Wystawa pamiątek po Stuartach”, odwiedzana tłumnie, a która w Szkotach zwłaszcza budzi interes żywszy, niż się spodziewać było można po tak długim zespoleniu się Szkocyci z Anglią. Interes ten wykazał się przez sprawozdania i artykuły, pisywane do dzienników, które nawet poczęły drażnić Anglików. John Bull nie jest łagodnym z natury i *Times* pisze, z pewnym złym humorem, że nie może zrozumieć uczuć niektórych osób, pań zwłaszcza, „na widok kawalka tartanu noszonego przez kogoś kilkaset lat temu.” Dziennikarz angielski dodaje też od siebie: — „Ja nie mogę się podnieść do takiego nastroju. Moja praktyczność każe mi myśleć, że Stuartowie mieli swój czas, że dostały im się w ręce doskonałe karty i sposobność korzystna wygrania atuta. Nie uczynili tego w chwili odpowiedniej, biedni ludziska (poor folks), przegrali stawkę...”

Anglik jest wolnomyślnym z natury; nie krepuje nikogo w rozwoju życia i działalności naturalnej, ale w głębi swojej oschłym jest i twardym. Nie ma współczucia dla pewnych stron uniesień serdecznych, dla pewnej poezji i romantyzmu uczucia.

Portrety nieszczęśliwej Maryi Stuart, których jest na wystawie więcej, niż innych, monopolizują uwagę zwiedzających. Jest ich trzy, wielkości naturalnej; jeden z nich użyczony wystawie przez królową z galerii windsorskiej. Wszystkie trzy ukazują na planie drugim okrutne szczegóły jej nieszczęsnego końca. Portretów, miniatur jest też kilka. Za najpodobniejszy przez wyraz i charakter twarzy uważają, nadesłany także przez kró-

lową z galerii Hampton-Court. Jest tam na pięknych, małych i pełnych, jak pąk róży, ustach uśmiech wesoły i słodki, jest w oczach piwnych, jak my mówimy—orzecchowych: („hazel”), jak się wyraża Anglik, ten czar pociągający, który dawał jej tyłu gorących wielbicieli, stronników jej sprawy, wążących się dla niej na wszystko, i otaczał urokiem poezji i miłości życie to tragiczne.

Karol I-szy, malowany przez Van Dycka, przedstawia, nietylko rodowe rysy, ale i charakterystykę moralną Stuartów. Melancholiczna i dumna ta twarz nieprędko daje się zapomnieć i można powiedzieć, iż ściga cię długo. Przy tym portrecie toczy się niemal rozprawa historycznych, zwłaszcza, że tuż obok jest portret królowej Maryi Henryki, także pendzla Van Dycka. Twarz ta wyniosła przypomina chwile, w której nazwała męża tchórzem, skoro, wczesniejszy do jej pokoju, oznajmił, że zrzeka się aresztowania owych pięciu członków parlamentu, których uwięzienie kosztowało go stratę korony i życia. Obok tego portretu Van Dycka, znajduje się zaraz drugi, Klaudyusza Le Fèvre, na którym stara, znękana kobieta trzyma w ręku książkę z tytułem: „The Advantage of Death” (korzyść śmierci), a ten drugi przemawia za pierwszym i nakazuje żal nad dumną i surową.

Jest tu cały szereg podobizn tego królewskiego rodu, od Stuartów klanowych, to jest od 1371 r., aż do kardynała Yorku, który, jako Stuart, nosił miano Henryka IX. Obok tego zgromadzono mnóstwo starożytnych mieczy, luków—broń i sprzętów domowych, puharów, mis kosztownych. Monet i modeli zebrano 299; sztychów i autografów 1.500. Czy podobna wystawa nie byłaby również zajmującą, w Krakowie, naprzykład?

Patti przebywała tu czas jakiś i niedawno dopiero porzuciła Londyn, aby zamieszkać w Walii, w swoim tajemnie urządzonej domu wiejskim na Craig-y-nos. Koncerta jej nie straciły tu nic na dawniejszem, nieopisanem powodzeniu. Dawane, jak zwykle, w przeogromnej sali koncertowej Albert Hall, miały po dziesięć tysięcy—nie sądzicie, że się mylą: po dziesięć tysięcy słuchaczy, a jeszcze setki osób cdehodziły od kasy bez biletów. Historia jej młodości i szkoły śpiewu, którą tu głosiły dzienniki, aż do uprzykrzenia, jest ciekawą, choćby nawet było w niej i coś przesady. Żanim nauczyła się wyraźnie mówić, już śpiewała wszystkie arye, zasłyszane od matki, śpiewaczki także, Barilli, a które ona powtarzała natychmiast z łatwością ptaszka, swiergojącego na gałęzi za innemi. Ojciec należał również do składu trupy teatralnej, zdaje się, że grywał w orkiestrze, i było to największem szczęściem dziecka, gdy je zabrano ze sobą do teatru. Schowana gdzieś w kątku za dekoracyami, patrzyła na scenę przez jakąś szparkę, wsłuchując się zwłaszcza w śpiew. Aktorowie pieścili ją i darzyli przysmakami, była też do każdego z nich tak śmiała, że raz w Nowym - Yorku, gdy jakaś przejezdna śpiewaczka została nagrodzoną bardzo łuczniemi oklaskami za partya *Lucy z Lamemmooru*, ona, dziewięcioletnia, wystąpiła z opozycją. — Złe pani śpiewasz tryle—rzekła, dygając. — Przetrzyjmy głos zadługo na drugiej nucie. — To trzeba śpiewać tak... dodała, łącząc naukę z przykładem.

Do dziecinnych wspomnień Patti należy pragnienie ofiarowania bukietu Grisi, dla której czuła najwyższe uwielbienie. Zebrała też na to grosz ukradkiem i kupiła bukiet białych kamelii, który oddała po reprezentacji Normy. Ale Grisi, zmęczona, odsunęła dziecko i jego kwiaty na stronę przeciw Mario, który śpiewał wraz z Grisi, wziął od niej bukiet i, całując spłakane dziewczętko, przepowiedział jej przyszłość.

— Czujesz prawdziwe piękno i będziesz kiedyś sama wielką artystką.

Rodzice jej popadli w biedę, kiedy nie miała jeszcze dziesięciu lat skończonych, i odtąd datują się jej występy publiczne. Nosiła ze sobą do teatru lub sali koncertowej lalkę, która się zwała Henryką. Przez dwa lata tych dziecinnych występów zarobiła Patti tyle, że kupiono w Nowym - Yorku piękną kamienicę i spracowane dziewczę odpoczy-

wało już i kształciło się w spokoju do lat szesnastu.

Z ich skończeniem nastąpiły znowu występy w Nowym - Yorku, a następnie w Paryżu, gdzie krytyk ówczesny Paweł de Saint Victor, nazwał ją: „La petite feé sortant d'un oeuf enchanté.”

Do dziś dnia jest ona wieszczką, która czaruje, jak tego dowody składa po Londynie Paryż, gdzie śpiewa właśnie Julię, której Romeem jest nasz Reszke. Pytana w Londynie przez jakiegoś ciekawca: jaką jest sztuka, przez którą zachowuje mimo ciągłej pracy niezmeńczony głos i młodość, zdaje się niespożyta?—odpowiedziała:— Chodzę regularnie spać o godzinie w pół do jedenastej...

Z Francji wyjeżdża wkrótce, bo 4 Marca, do Ameryki. Wsiądzie na okręt w Bordeaux, po drodze wstąpi jeszcze do Londynu, gdzie obiecuje dać trzy koncerty. W rezultatach swoich można śmiało powiedzieć, będą one trzema workami złota, którychby nie udźwignęła własną siłą.

Do ostatnich nowin chwili należy wiadomość, że Szach Perski zjedzie w końcu Maja do Londynu, podobno z licznym orszakiem.

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

HYGIENA WZROKU

według

D-ra Ks. Gałęzowskiego.

(Dokończenie.)

Lampa elektryczna systemu Edisona łączy w sobie wszystkie warunki wymagane przez higienę, przedstawia jedną tylko niedogodność: jest droga...

Gaz stoi niżej od światła elektrycznego. Chcąc aby dostatecznie oświetlał, potrzeba użyć wielkiej ilości światła, które zbytnio rozgrzewają i wydzielają znaczną ilość produktów spalania. Zresztą białość światła gazowego zależy od gatunku gazu, który znowu jest tem lepszy, im więcej zawiera w sobie węgla. Według Dumasa płomień gazowy spalający w przeciągu godziny 158 litrów gazu zużywa 234 litry tlenku. Przelewszyskiem jednakże strzedz należy wzrok od płomieni płonących bez szkiele, filowanie bowiem w nich jest bardzo znaczne, a temsamem męczy oczy.

Oświetlenie domowe. W tym celu, jak już wyżej wymieniliśmy, używa się świec, gdy idzie o krótkotrwałe światło, a lamp naftowych lub olejowych, gdy potrzeba światła przez czas dłuższy.

Nafta daje najlepsze oświetlenie z powodu składu swych promieni i własności cieplikowych. Pod tym względem zaraz po świetle elektrycznym zasługuje ona przed innemi na pierwszeństwo, zawiera bowiem nieznaczną ilość promieni żółtych, mało wydziela produktów spalania (naturalnie gdy jest dobrze oczyszczona) i wreszcie jest nadzwyczaj tania. Lampy olejne są doskonałe, gdy nie potrzeba zbyt wielkiego światła.

Pamiętać należy, aby oświetlenie sztuczne było dostateczne; aby przedmioty, na których wzrok się zatrzymuje, otrzymywały jak największą ilość światła; aby wreszcie były chronione od jego wpływu za pośrednictwem *abat-jour*'ów.

Szkola wywiera bardzo ważny wpływ na powstawanie krótkowzroczności i innych cierpień oczu.

W szkołach i w ogóle we wszystkich zakładach, gdzie się pracuje nad przedmiotami będącemi w bliskości, a co głównie ma miejsce przy pisaniu i czytaniu, wzrok, a zwłaszcza akkommodacja znajduje się w stanie ciągłego wysiłku.

Bywa on szczególnie znacznym u osób obarczonych dziedzicznie wadą wzrokową, a co z czasem prowadzi do krótkowzroczności. Ogólny stan zdrowia, słaba budowa ciała, *niedokrewność* wpływają również na rozwinięcie się tej wady wzrokowej, zwłaszcza u młodych dzieci, gdy je po przebytej chorobie zbyt wczesnie zaprzęda do mozolnej pracy.

Hygieny wzroku w szkołach powinna być jak najściślej przestrzegana. Wszystko wykonywa się przy pomocy wzroku — i wzrok prawie bezustannie jest tu w naprężeniu.

Nie zgadzamy się na zdanie innych lekarzy, utrzymujących, że szkoła jest bezwarunkowo sprawczynią krótkowzroczności, i że ta rozwija się u uczniów stopniowo i niechronnie w miarę przechodzenia z klasy do klasy. Do takiego rozwoju potrzebne są pewne warunki. Krótkowzroczność rzadko rozwija się u oku normalnie zbudowanym, lecz w takim, które przedstawia skłonność do tej wady, i dlatego należy oczy ucznia postawić w takich warunkach higienicznych, aby jaknajmniej cierpiał.

Oświetlenie sal w szkołach powinno być względnie jaknajśilniejszym, gdyż niedostateczne podciąga za sobą wysiłek w akkommodacji i zbieżności wzroku.

Z drugiej znowu strony, światło nie powinno być zbyt silnem, aby nie raziło wzroku, wpadając z boku albo z dołu, jak to ma miejsce gdy okna dochodzą do samej podłogi. Rolety, markizy, szyby matowe, mury niebyt jasno malowane, pozwalają zmniejszyć zbyt wielkie natężenie światła stosownie do potrzeby, czasu, pory roku i położenia sali.

Niezbędną jest rzeczą, aby sala była w całej rozciągłości oświetloną równomiernie t. j. aby uczniowie pomieszczeni w głębi otrzymywali tyle światła, ile go mają siedzący przy oknach. Większość higienistów zgadza się na oświetlenie jednostronne, z lewej strony, albowiem przy pisaniu cień ręki zasłaniałby powierzchnią papieru, gdyby światło przybywało ze strony prawej.

Gdy światło z jednej strony nie jest wystarczającym, wówczas można uciec się do dwustronnego oświetlenia. Urządzanie okien za ławkami nie byłoby wprawdzie szkodliwym dla uczniów, ale pamiętać należy również i o wzroku nauczycieli, który mógłby na takim urządzeniu cierpieć.

Przy dwustronnem oświetleniu okna po stronie lewej powinny być znacznie większe niż po prawej.

Oświetlenie z góry, przez dach, dostarcza bardzo wielkiej ilości światła i powinno być stosowane w szkołach rysunkowych, pracowniach malarskich, w zakładach fabrycznych oraz tam, gdzie z powodu zbytnej bliskości domów sąsiednich nie można zwykłym sposobem wpuścić dostatecznej ilości światła.

Starano się wynaleźć stosunek, jaki zachować należy między wielkością i ilością okien a rozmiarami sali. Gdy oświetlenie jest dostateczne, wówczas można z łatwością czytać w najodleglejszych miejscach od okien drobne nawet pismo w odległości 33 centymetrów od oka. Ale jest to możliwe tylko wtedy, jeżeli domy sąsiednie znajdują się w stosownej odległości od szkoły t. j. przynajmniej na dwa razy tak daleko, jak są wysokie. Przy budowaniu nowych gmachów należy okoliczność tę koniecznie mieć na względzie, a gdy jej zadosyć uczynić nie można, wypada klasy koniecznie pomieszczać na wyższych piętrach.

Mówiąc o wpływie szkoły na wzrok, niepodobna nie wspomnieć choć kilku słowami o *książkach*. Powinny one odpowiadać następnym warunkom: 1^o) mają być drukowane na białym papierze z lekimi odcieniami żółtawym; 2^o) wiersze nie powinny być dłuższe nad 7 do 8 centymetrów, dla zmniejszenia, oile możności, ruchów oczu; 3^o) litery powinny być duże i niezbyt skupione, tak, aby miały dostateczną między sobą odległość, na 1 centymetr przypadając ma nie więcej nad 7 liter. Książka, której osoba mająca dobry wzrok nie może czytać przy oświetleniu świecą na 1 metr, w odległości 80 centymetrów, powinna być uczącej się młodzieży wzbronioną. Tosamo stosuje się do atlasów, które w powyższych warunkach powinny być dla normalnego wzroku czytelnego,

w odległości 40 centymetrów. Druki na ścianach i mapy powinny być czytelnymi czcionkami odbijane, jednakowemi we wszystkich punktach.

Litery niemieckie, podobne jedne do drugich, są trudno-czytelne; być może, że okoliczność ta sprawia, iż tylu Niemców nosi binokle...

Pisanie sprawiać może, iż dzieci przybierają niewłaściwe ułożenie ciała i instynktownie przechylają głowę w stronę lewą, skutkiem czego następuje skrzywienie kręgosłupa, a prócz tego, skutkiem ucisku żył i tętnic szyjowych, powstają zaburzenia w krążeniu wewnątrzgałkowym, zkad rozwija się często krótkowzroczność. Dzieci powinny pisać i czytać w odległości 25 albo 33 centymetrów. W tym celu powinny być w szkołach stoły i ławki odpowiednio urządzone.

Co do wzroku uczniów, gdy zauważono, że który z nich przy czytaniu i pisaniu przybiera wadliwą pozycję, gdy zwracanie na to uwagi nie skutkuje, gdy dziecko nie może widzieć, co się pisze lub rysuje na tablicy, gdy zaczyna zezować i t. p.—nie należy go karać: uczeń taki dotknięty jest niewątpliwie wadą wzroku i potrzeba udać się do lekarza z celem przedsięwzięcia stosownych środków. Zresztą wszyscy uczniowie wstępujący do szkół powinni przedstawiać świadectwa o stanie wzroku. Przy ich pomocy lekarze szkolni mogliby z samego początku zaradzić złemu, udzielając nauczycielom właściwych wskazówek. I tak, przedewszystkiem uczniowie posiadający słaby wzrok powinni być pomieszczeni w najbliższych ławkach od tablicy, ci zaś, którzy posiadają prawidłowy—w dalszych.

Wreszcie krótkowzroczni powinni bezwarunkowo nosić okulary. Istnieje pod tym względem pomiędzy publicznością, a nawet pomiędzy niektórymi lekarzami, przesąd, aby noszenie okularów odwlekać na jak najdłuższy przeciąg czasu, albo, żeby je tylko noszono, gdy idzie o patrzenie z odległości; tymczasem dla ludzi posiadających wzrok krótki są one ciągle niezbędne. Jest to jeden z najważniejszych środków zapobiegających stopniowemu rozwijaniu się krótkowzroczności i dalszym rozwoju tego komplikacyom. Przesąd pod tym względem jest ogólnie zakorzeniony. Starać się potrzeba wszelkimi siłami go wytepić, gdyż tylko tego rodzaju *leczenie*, (tak nazwać można noszenie dobrze dobranych okularów), może zapobiec rozwijaniu się złego nadal. Wrazie nieznacznej krótkowzroczności, bez *astygmatyzmu*, gdy możność pracowania ogranicza się na trzymaniu książki lub kajetu w odległości 20 i 25 centymetrów, natenczas noszenie okularów jest zbyt konieczne, a ograniczać się można jedynie na binoklach, które nakłada się w razie potrzeby czytania na tablicy.

Uczniowie dotknięci wadą wzroku mają być peryodycznie badani przez lekarza, który przekonać się powinien: czy szkła noszone przez dzieci są właściwemi.

Bardzo często słyszymy utyskiwania, iż wzrok osłabił skutkiem światła gazowego. Według Dra Gałęzowskiego nie należy oskarżać rodzaju światła, lecz sposób jego pomieszczenia. Gaz nie jest światłem szkodzącym wzrokowi, gdy jest dobrze powieszony; potrzeba jednakże przyznać, że w wielu zakładach powieszenie jego jest wadliwe.

U nas w szkołach lekcje odbywają się prawie wyłącznie przy oświetleniu dziennem. Uczniowie jedynie w domu pracują wieczorami przy oświetleniu sztucznem.

Otóż zachodzi pytanie: czy w pokoju, w którym pracuje naraz kilku lub kilkunastu uczniów, należy oświetlać cały pokój, czy też tylko ściśle te miejsca, w których się praca odbywa. Ponieważ chodzi o jak najlepsze oświetlenie pola, na którym się pracuje, temsamem nie należy dbać o resztę pokoju. W tym celu lampa powinna być zawieszoną na 30 do 40 centymetrów po nad stołem i opatrzona daszkiem, o dużym promieniu, w ten sposób wszystko światło pada na książkę lub kajet i oczy są ochronione od blasku światła. Tymczasem w zakładach światło pomieszcza wysoko, na metr lub nawet dwa ponad polem pracy, tak, że cały pokój, albo sala jest dostatecznie oświetlona, a pole pracy bardzo źle. Ztąd pozycje cia-

ła pochylone, wysiłki w akkomodacyi i różnego rodzaju zapalenia oczu. Zarzucano sposobowi oświetlenia Dra Gałęzowskiego, że będąc blisko oczu, rozgrzewa je zbyt; uniknąć tego można przy pomocy urządzenia odprowadzającego ciepło, a co jednocześnie stanowi doskonałą wentylację.

Co do *professyi*, zawodów, to te dzielą się na takie, do których użyci być mogą tylko ludzie posiadający wzrok doskonały, jak np. wojskowi, służba zewnętrzna na drogach żelaznych; szczególnie ta ostatnia poddawana zostaje ścisłemu badaniu, albowiem od dokładności wzroku, zależy życie setek ludzi—nie mówiąc już o stratach materialnych, dochodzących nieraz do krociowej wysokości.

Co do innych zajęć, niewymagających ścisłego badania wzroku, powiemy tylko, że ludzie nieobdarzeni zupełnie normalnymi oczami, nie powinni poświęcać się takim zajęciom, jak drukarstwo, zegarmistrzostwo, jubilerstwo i t. p. Prócz tego pewne zajęcia niszczą wzrok w wysokim stopniu, tu należą robotnicy z fabryk ołowiu, tytoniu, z młynów, z kopalni, odlewni, hut szklanych. Wszyscy oni przedewszystkiem powinni utrzymywać oczy w jaknajwiększej czystości, nie dotykać ich nigdy brudnymi rękoma i nosić okulary chroniące od kurzu, pyłu i zbyt silnego blasku.

W zakończeniu dodać należy, że jest wielka liczba chorób ocznych, których uniknąć bezwarunkowo można przy zachowaniu przepisów higienicznych. Liczba osób dotkniętych ślepotą całkowitą i częściową we Francji i Algeryi wynosi 38.000, na 41.000.000 ludności, co mniej więcej stanowi 1 ślepego na 1.000 ludzi. W innych krajach różnica jest niewielka. Tak znaczny procent ślepych przypisać należy temu, że leczyc się zaczęli dotknięci chorobą oczu dopiero wówczas, gdy ta silnie się już rozwinęła; że często zamiast udać się po poradę do lekarza, szukają pomocy u aptekarza lub znachora, niemających pojęcia o oftalmologii.

Z drugiej strony wyznać potrzeba, że porada niedostateczna, udzielana przez lekarzy niespecjalistów, przyczynia się również do zwiększenia liczby dotkniętych ślepotą.

Pod nazwą „ślepi” nie rozumiemy tych, którzy zupełnie nie już nie widzą, lecz także osoby, które z powodu nadwątlenia wzroku nie mogą już oddawać się pracy zawodowej.

W tym celu należy oświecać ludzi, aby jak najwcześniej uciekali się po poradę do lekarzy, przyczem ci ostatni powinni posiadać przynajmniej niezbędne wiadomości z oftalmologii; niepodobna bowiem wymagać, aby każdy lekarz specjalnie się poświęcał tej nauce. Specjaliści niezbędni są w wypadkach ciężkich i zawiakłych.

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— P. Florentyna Dytman zasłużyła się miastu naszemu, wznosząc wysoce pożyteczną instytucję: dom schronienia dla niezamożnych pańien pod nazwą *Przytulku imienia Maryi*. Celem schronienia jest wytworzenie jakoby domowego ogniska dla młodych a samotnych dziewcząt, w połączeniu ze specjalnem ich kształceniem w robotach kobiecych i opieką, jakiej potrzebuje wiek niedojrzały. Miejsce *Przytulku rodziny Maryi* jest przy zbiegu ulic Żelaznej i Żytniej; przyjmuje się tam pensyonarki, poczynając od skończonych lat 16-tu, katoliczki, moralnego prowadzenia, zdrowe na umyśle i ciele. Trzy czwarte pensyonarek utrzymywać będzie zakład bezpłatnie, część czwarta płaci 10 rs. miesięcznie.

— Szkoła bon i nianiek, zostająca pod kierunkiem pań: Zofii Duszyńskiej i Kazimiery Werne-

rowej, ma być wkrótce otwartą, a instytucja ta, dobrze prowadzona, może się stać wielką pomocą w wychowaniu naszem domowem. Zapewne szkoła dawać będzie uczennicom swoim potrzebne wiadomości z zakresu higieny dziecka, oraz wskazówki pedagogiczno-edukacyjne, w kierunku postępowania z niem. Już to samo stać się może wielką zasługą szkoły, jeżeli wyruguje choć jedną dziesiątą część bon cudzoziemek: Bóg wie jakich Francuzek, Niemek, którym oddajemy w ręce pierwsze wychowanie dzieci naszych. Kwestya to bardzo ważna i niejednokrotnie podnoszona w piśmie naszym, traktowana obszernie ze wszystkich a wielorakich stron wadliwości swojej i strat—strat nieuniknionych, jakie sprowadza musi metoda dwujęzycznego wychowywania dzieci młodych. Umysł wyrabia się przeważnie w kierunku pamięciowym, ze szkodą tych władz, które składają się na inteligencję człowieka. Szkoła naszych bon i nianiek zapewne wpływać będzie, obok potrzebnego uzdolnienia ich zawodowego, i na wyrabianie pojęć obowiązku i sumiennosci w uczennicach swoich.

— Agnieszka Karolak, mieszkanka Łodzi, służąca do wszystkiego w rodzinie J., spełniła czyn szlachetnego współczucia dla tejże rodziny, gdy po śmierci pana, wobec ciężkich dla wdowy warunków życia z pięciorgiem drobnych dzieci, przysłała jej z pomocą, składając w jej ręce cały posiadany majątek, owoc długoletniej pracy rs. 200. Było to uczynione sposobem pożyczki, co nie ujmuje nic wartości działającego tu uczucia, bo wdowa znajdowała się w położeniu tak smutnem, że wyprzedawała z domu przedmioty najkonieczniejszego użytku, więc nie było żadnej pewności: czy będzie mogła uiścić się kiedy z długu? Ale, na szczęście, tak się nie stało. Karolakówna, wychodząca obecnie za mąż, otrzymała cały zwrocony jej przez p. J. kapitał i w dodatku, jako oznakę wdzięczności, wyprawę panny młodej. Można też uważać to za pewnik niezawodny, że dobre służki znajdują się zawsze, obok dobrych i rozumnych—uczciwie sprawiedliwych i dobry przykład życia dających pań. Służba jest szkołą sług i gdzie pani jest rozumną i sumienną pracodawczynią, a obok tego kobietą z dobrem sercem, z pewnem poczuciem moralnego obowiązku istoty oświeconej względem tej, która los została ciemną—tam sługa, z małym wyjątkiem, staje się dobrą i uczciwą, obowiązki swe godziwie pełniącą. Dołożyć tylko trzeba: jeżeli jest jeszcze młoda i przez inne służby u pań niegospodarnych i niewyrozumiałych źle nie skierowaną. Coś miłości bliźniego, coś uczucia obywatelskiego i współczucia dla tych, którym życie mniej dało: a stosunki ułożyłyby się niezawodnie na podstawie korzystnej dla obu stron.

— W Żelechowie odbywa od roku praktykę ucznia aptekarskiego p. M. córka tamtejszego obywatela. Po ukończeniu nauki przygotowanej p. M. zamierza wyjechać zagranicę dla kształcenia się w zawodzie aptekarskim.

— Handel jajami i masłem, których-to przedmiotów produkcja zalicza się na dział gospodarstwa kobiecego, rozwija się u nas bardzo pomysłnie. *Kaliszanin* donosi, że przez jedną tylko stacyą pocztową w miasteczku Turku przychodzi z zagranicy za jaja i masło około 40.000 rs. rocznie. Doliczając do tego to, co idzie przez dwa inne pocztowe miasteczka powiatu, postawić można liczbę od 70.000 do 80.000 rs. Jak na jeden powiat, stanowi to sumę dochodu już poważną; „Kaliszanin” stawia przeciw tej wiadomości pytanie: ile też z tego dostaje się do rąk producentek, a ile wpływa do kieszeni pośredników? Zorganizowanie na warunkach innych, niż obecnie, handlu produktami spożywczymi, tak wozowego, jak na potrzebę miejscową, jest kwestyą wielkiego znaczenia dla dobrobytu wiosek naszych.

— Stowarzyszenie pomocy naukowej dla kobiet kształcących się w szkołach wyższych, którego myśl powstała w Krakowie, podczas zjazdu na pogrzeb Kraszewskiego, obecnie weszła w życie. Namiestnictwo Galicyi udzieliło pozwolenia potrzebnego tu, aby instytucja funkcjonować mogła prawnie; że przeciw istnieje, zawdzięcza

to prof. Belcikowskiemu, który stanął na czele zawiązanego we wspomnianym czasie komitetu i rozproszone dobre chęci zespolił. Stowarzyszenie posiada obecnie kapitał bardzo skromny 1.000 zł. reńskich; udzielanie zapomóg rozpocznie się dopiero z chwilą, gdy kapitał wzrośnie do sumy 10.000 zł. r.

— Za sprawą zaonej p. Giełgudowej otwarto w Londynie i w Plymouth sklepy z wyrobami kobiet naszych. Nadzór nad niemi spoczywa w ręku tej pani, która pragnie tym sposobem otworzyć w Anglii miejsce zbytu dla naszej pracy kobiecej. Z jej ramienia też wyjechał do Warszawy kommissant handlowy, z celem ułatwienia pracownikom tutejszym zawiązania stosunków handlowych z Anglią i objaśnienia co może być produkowanym u nas na wywóz do tego kraju? Piszą też, że jeden z warszawskich kapitalistów, zachęcony powodzeniem, jakie tam spotkało nasze wyroby kobiece, wysłał do Londynu znaczną partycję „poszywanych” tiulów i wszywek, wyrobu włóścianek naszych. Sklep z tym towarem został otwarty w Londynie na Picadilly przez kupca angielskiego Snyders'a.

— Miss Klementyna Black, córka zamożnego przemysłowca w Manchester, usiłuje doprowadzić do skutku w tem mieście i innych wielkich ogniskach pracy swego kraju utworzenie *Handlowego związku kobiet* (Women's Trade Union), a to z celem pewnego uregulowania cen pracy kobiecej, która obecnie jest bardzo nędźnie wynagradzana, szczególnie wśród szwaczek stale zajmowanych. Liczne koła ludzi dobrej woli podnoszą te usiłowania Miss Black, jako dzieło ludzkości i sprawiedliwości. Przedsiębiorcy pracy kobiecej pobierają lwi procent za pośrednictwo swoje między robotnicą a publicznością.

— Redaktorka i wydawczyni wychodzącego w Weimarze pisma dla kobiet, *Frauenberuf*, Ludwika Kettler, napisała treściwie zebrane dzieje rozwoju niezawisłej pracy kobiet, jej przyczyn i jej skutków. W Anglii opiera się kobieta na prawie pracy, danem każdej istocie ludzkiej, dla zapewnienia sobie pewnego dobrobytu i zadowolenia moralnych aspiracji człowieka. — Więc Angielka chce sobie zdobywać i pewne prawa w pracy obywatelskiej, udział w dobroczynności publicznej, a jak obecnie, usiłuje zabierać głos w radach prowincjonalnych, pozyskany już poniekąd przez świeże prawo, przypuszczające właścicielki nieruchomości do głosowania na urzędników gminnych i powiatowych. Niemka żąda przedewszystkiem większego udziału w pracy zarobkowej—w przemyśle, i na tych drogach rozmaitych powołań, które nie ograniczają się wyłącznie do pracy u domowego ogniska, a to ze względu, aby znaczna ilość kobiet niezamężnych lub wdów, zostawionych samotnie wśród życia, mogła żyć uczciwie i szczęśliwie z owoców pracy własnej. W Weimarze zawiązało się też w roku ubiegłym stowarzyszenie reformy stosunków kobiecych, pragnące utworzenia zwłaszcza dla kobiet klas inteligentnych jakiejś pracy chlebobdajnej, któraby poza literaturą i sztuką, gdzie niekażdy sięgać może, poza nauczycielstwem domowym, gdzie jest już przepelnienie, pozwoliła żyć kobiecie z pracy umysłowej i nauki posiadanej. Zawód medyczny powinien zostać otwartym dla kobiety, która jako lekarz chorób kobiecych i dziecinnych, może być użyteczną społeczeństwu, nie występując przytem poza te granice, które obyczajowość nowoczesna stawia kobiecie w jej żądaniach pracy na polu publicznem. Jako przykład, że kobieta rozumna i uczciwa przekracza ich nie potrzebuje i nie zechce, cytuje literatka niemiecka obok An-

gielek i kobiety nasze, wyrażając się o nich ze czcią i uznaniem, co razem streścić można:—Te oto szlachetne są przecież i godności kobiecej strzegące, z cnót rodzinnych nie obrane, a mimo to garną się na te chlebobdajne drogi pracy, gdzie jednak nie ztracają charakteru kobiecości dostojnej.

Kobieta nasza zyskała sobie, jak widzimy, mir u ludzi—zyskała sobie szacunek i poważanie świata. Oby też nigdy w imię mrzonek fałszywego postępu nie zmieniła kierunku, nie pozbyła się tej równowagi, która uczy ją godzić wszystkie szlachetne umiesienia ducha ludzkiego z obowiązkami ograniczającymi, z natury rzeczy, kobiecość!

— Papież ozdobił złotym medalem zasługi miss Maryą Cadwell, Amerykankę z Waszyngtonu, za znaczny dar 300.000 dolarów, na wzniesienie uniwersytetu katolickiego w tem mieście.

— Królowa Wiktorya angielska ofiarowała narodowi wszystkie wspaniałe i wiele milionów wynoszące dary jubileuszowe. Złożone one zostaną w *South Kensington Museum*.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Na Wystawie Sztuk Pięknych obok zajmującego i wciąż gromadzącego widzów obrazu Rosena: *Przeгляд Kawaleryi*, publiczność zwraca się z uczuciem sympaty do popiersia Domejki, towarzysza nauk Mickiewicza.

— Konkurs na rysunki rodzajowe z tematów wiejskich lub miejskich ogłosiła obecnie redakcyja *Tygodnika Ilustrowanego*. Każdy ze stających do konkursu powinien przesłać jeden rysunek obranej treści, lub dwa: po jednym z każdego tematu. Rysunki powinny być wykonane, jak do trawienia, rozmiarów jednej stronicy *Tygodnika*. Termin nadsyłania do dnia 15 Kwietnia. Rysunki nie mają mieć podpisów, tylko godła, takiesame, jak na kopercie zapieczętowanej, mieszczącej wewnątrz nazwisko.

— Odczyty w celu zyskania funduszu na dalsze wydawnictwo *Pamiętnika Fizyograficznego*, urządzone przez redakcyję *Wszecchiwiata*, odbywać się będą w czasie postu w salach *Muzeum Przemysłowego*.

— Termin konkursu na plan nowego teatru w Krakowie upływa z d. 1-go Marca. Nadesłane okazy, składane w sali obrad miejskich, publiczność oglądać będzie mogła dopiero po ogłoszeniu wyroku sądu konkursowego, którego zwolanie uchwalonem zostało przez kommissyją konkursową na d. 14 Marca.

— Lwowskie towarzystwo przyrodników imienia *Kopernika* uczciło na walnem zgromadzeniu swoim pamięć zmarłych członków: Domejki i Zygmunta Wróblewskiego. Towarzystwo istnieje już lat 16, liczy 168 członków, a do zasług jego należy wydawanie czasopisma *Kosmos*, rozchodzącego się w 300 exemplarzach, a którego redaktorem jest dr. Radziszewski. Prezesem Towarzystwa obrany został obecnie prof. Rehman. Czynnym współdziałal prof. Dybowskiemu sprawdził polepszenie materialnego stanu Towarzystwa.

— Przekłady poezyi Asnyka na język niemiecki

przez Gumplowicza dały poznać tego pierwszego dziś z poetów naszych zagranicy. Krytyk niemiecki i professor uniwersytetu berlińskiego, Kohler, w dziele swoim: „*Aesthetische Streifereien*”, poświęca rozdział jeden rozbiorowi poezyi Asnyka, poznanych w przekładzie Gumplowicza i pisze: „Jest to znakomity liryk, którego postawić można śmiało obok największych liryków niemieckich od śmierci Goethego.” Kończąc rzecz *Über Adam Asnyk*, dodaje: „Trzeba być bardzo wdzięcznym tłumaczowi, że zbogacił literaturę niemiecką takimi perłami poezyi.”

— Kongresy naukowe odbywać się będą w Paryżu przez czas trwania Wystawy, podobnie, jak to miało miejsce w 1878 r. Wówczas było ich 26; obecnie, jak ogłosiła kommissyja, której powierzono sprawę urządzenia kongresów, ma ich być 49, każdy pod przewodnictwem odpowiedniego z uczonych i literatów francuzkich. Sully-Prudhomme, pierwszy dziś i może jedyny poeta we Francyi, będzie miał przewodnictwo w dziale literatury, Duruy w historii i archeologii, Simon w ekonomii społecznej, Gréard w pedagogii, i tak dalej. Nazwiska przytoczone wykazują pierwsze w swoim zakresie siły Francyi.

— Poeta hiszpański Zorilla zostanie uczczony przez naród uroczystym obchodem jubileuszu jego pracy poetyckiej. Miejscem uroczystości będzie Grenada, dokąd przybędzie królowa Krystyna wraz z dworem swoim i wśród odpowiednio urządzonego zgromadzenia literatów i uczonych hiszpańskich, obok których zajmą miejsca ministrowie, deputowani, oraz reprezentanci wielu gmin i miast, razem dziesięć tysięcy osób, królowa włoży na głowę poety, już siwowłosą, złoty wieniec laurowy. Zorilla jest gorąco kochanym przez społeczeństwo swoje, jako poeta narodowy.

— Ateny święcie będą w bieżącym roku pięćdziesięciolecie swego uniwersytetu. Jakże to półwiecze wydawać się musi minutą czasu ceniom unoszącym się nad Akropolis!.. A dokopuje się właśnie człowiek dzisiejszy na tem starem zamczysku mnóstwa relikwii przeszłości, które znędzniały ród Greków oddaje cudzoziemcom. Londyński *Times* donosi, że *Amerykańskie Towarzystwo* wydobywa z twardego skalistego gruntu, na 14 metrów w głąb mnóstwo pamiątek z czasów Pelazgów, oraz murów cyklopowych. Znalezione 40 marmurowych, a przeszło 50 bronzowych posągów i bardzo wiele przedmiotów z terrakoty. Do najcenniejszych rzeczy należy wielkie marmurowe popiersie Ateny i mnóstwo jej posągów.

— Międzynarodowa wystawa higieniczna w Reims liczy między zapisanymi współuczestnikami delegatów z Turcyi, Persyi i Marokka.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Poezya w Życiu, przez Bronisława Grabowskiego. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Przegląd Piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — Ruch Muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — List z Anglii. — Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej, (hygiena wzroku) według D-ra Ks. Gałęzowskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — **Przeгляд mód**. 21 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.